

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

5 — Pan mecynas jej powie, że po wojnie, to przez to moratorium to jej takie procenty od te długi, co ma, narosną, że ona będzie dopłacić dwa razy tyle do tego grunt, co on wart.

— Kiedy ona pomimo moratorium regularnie opłaca procenty od długów!

— Co sze taka głupia, wiejska baba na tem rozumie! Pan mecynas powie, że narosną, to narosną! A jakby ona na żaden sposób nie chciała sprzedać, to niech ona weźmie mojego szwagier na dźerżawę... To nam wystarczy! No, panie mecynasie, interes stoi, zgoda?

— Niechże będzie zgoda — tylko słuchaj Fiszgold — żadne obiecanki, żadne gruszki na wierzbie — gwarancja pewna musi być!

— To sze rozumie!

ROZDZIAŁ IV.

Urywki z pamiętnika Kornelii Witowtówny.

25. czerwca.

Nie widziałam go już dwa dni. Trudniej mi go teraz widywać, bo nie mieszka w szpitalu, lecz w domu. Byłam tam dzisiaj, zaniósłłam Jance książkę, o którą mnie już dawno prosiła, ale Ludwika nie zastałam. Nie śmiałam pytać o niego, bo pani Rażycka tak jakoś dziwnie patrzyła na mnie... Strach mnie zdjął, aby nie odgadła, co mnie przygnało... Ta kobieta ma takie mądre, przenikliwe oczy. Złękałam się... Mówiłam dużo, śmiałam się jeszcze więcej, wprowadziłam i ją i Jankę w doskonały humor, ale o Ludwiku nie wspomniałam ani słowa.

Gdzieby on mógł być? Przez cały dzień rozchlapał się dzisiaj drobny, zimny, przejmujący deszcz. On może nawet zaszkodzić sobie wychodząc w taką niepogodę.

Zajrzałam do kilku kawiarni, nie było go nigdzie... Może... może jest u jakiej kobiety... Kto wie, czy nie przywabiła go znowu Warewiczowa... Ale chyba nie. Musiało między nimi zająć coś poważnego, co ich rozstrąciło na zawsze, bo nie słyszałam jeszcze, aby się Ludwik o jakiegokolwiek kobiecie z równą wyrażał pogardą.

To dobrze, to dobrze... Niechby inna, byle tylko nie ona.

Inna? Byle nie ona?... Poco kłamać przed sobą samą? Czyż nie wszystko jedno, która mi go wydrze? Czyż ból będzie mniejszy, zazdrość mniej piekająca, choćby ta „inna“ była najlepsza, najszlachetniejsza? Śmieszne! Śmiałabym się sama z tego serdecznie, tylko tyle już śmieję się, kiedy jestem z ludźmi, że mi dla siebie tego śmiechu braknie... Kornelko! Przejrzyj się z łaski swojej w lustrze! Prawda! Nie posiadasz w twoim dziewczęcym aparacie tego zbytkownego sprzętu. I słusznie! Bo po co ci?

26. czerwca.

Pytała się mnie Łuskowska, dlaczego nie przychodzę na obiady. Odpowiedziałam jej wymijająco.

Nie mogę. Muszę nawet zacząć jadać skromniejsze kolacje, przestanę kupować jajka.

Nie starczyłoby mi. Te podarunki dla Ludwika, które mu posłałam bezimiennie, kosztowały dużo. Szczególnie wino było bardzo drogie. Ale on chętnie pija dobre wino.

A jak się cieszył tym kosztem herbacianych róż... To prawda, że piękniejszych róż nie mogłam już znaleźć w całym Krakowie. Zachodził w głowę, ktoby to mógł przysyłać... Snuł najrozmaitsze przypuszczenia i bawił się nimi jak dziecko. Pomagałam mu odgadywać, ale naturalnie do rozwiązania zagadki nie doszliśmy...

Widziałam wczoraj w kwiaciarni na Szewskiej dziwaczne, złotawo-zielone storczyki, centkowane, precudne... On lubi storczyki. Poślę mu.

Ani mu w myśli podejrywać moje „incognito“. To dobrze, bo w przeciwnym razie straciłoby te niespodzianki cały urok dla niego...

30. czerwca.

Po raz pierwszy odczułam silnie nieznosny przymus, niewolę pracy zarobkowej i wzięła mnie ochota zatargać moją obrożą, ale nie wolno mi, nie mogę... Ludwik zaproponował, abym znowu poszła przed południem na daleki spacer, a ja musiałam odmówić! Musiałam mu odmówić! Stracić jedną z tych chwil,

których łaknę, jak spragniony kropli wody... Nie mogłam iść, bo w tym czasie mam pracę obowiązkową.

W laboratorium popeliłam cały szereg nie zručności, stłukłam kilka epruwetek, wylałam kosztowny płyn...

Asystent zrobił mi cierpką uwagę, odpowiedziałam szorstko i przestraszyłam się zaraz tej mojej zuchwałości. Zabrałam się ze zdwojoną gorliwością do roboty. Nie mogę ryzykować. Cóżbym zrobiła, gdybym straciła posadę?

2. lipca.

Spotkałam dzisiaj doktorową Ziarczyńską. Robiła mi wymówki, że zaprzestałam mojej pracy dla „Komitetu opieki nad sierotami“. „Była pani tak użyteczną pracownicą“ — powiedziała — „a teraz nagle znikła pani. Proszę zająć znowu do nas, przyda się pani bardzo nam i sierotom“.

Tłómaczyłam się, wymawiałam brakiem czasu: kłamałam. Nie mogłam jej przecież powiedzieć: Co mnie to teraz wszystko obchodzi, kiedy on tutaj jest, kiedy jedyną moją tęsknotą, jedynym pragnieniem — to patrzeć w jego oczy, cudne, najukochańsze, modre oczy, słuchać jego głosu, odgadywać życzenia!...

Ziarczyńska powiada, że mogę przydać się sierotom... a może z pośród tych wszystkich sierot, to właśnie ja jestem najbiedniejszą, najbardziej opuszczoną sierotą, którą się nikt nie opiekuje, której nikt nie przygarnie...

Od najmłodszych lat słyszałam zawsze, że powinienam „przydawać się“ innym, aby ich „użytecznością“ swoją przebłagać za moją brzydotę.

Matka, siostry, kuzynki, wszyscy domowi posługiwali się mną cagle, wyręczali na każdym kroku.

Pamiętam, kiedy bywałam z matką i siostrami na wieczorkach, nie brałam nigdy bezpośredniego udziału w tańcach i zabawie, ale za to byłam „przydatna“, „pożyteczna“, „użyteczna“... Grałam do tańca, pomagałam przy nakrywaniu stołu i przyrządzaniu kolacji, wymyślałam gry towarzyskie, poprawiałam moim rówieśnikom rozwichrzonym tańcem włosy i słuchałam ich rozmarzonych szeptów i poufnych zwierzeń.

I tak już, zdaje się, zawsze... aż do końca przeznaczeniem mojem jest „grać do tańca“ innym.

3. lipca.

Nie, to jednak straszne! To niesprawiedliwe i czasem nawet taki jak ja pokorny, nędzny, deptany robak buntuje się i pyta, dlaczego?!

Przecież ja jestem młoda, zdrowa, normalna, mam krew gorącą w żyłach i serce, które się rwie do miłości. Gdyby moim został ten, którego pokochałam, serce podesłałabym mu pod nogi, aby mu lżej stapać było, ręce pokręciłabym w pracy, byle on się wysilać nie musiał, kochałabym świat cały, i ludzi i Boga, w wdzięczności przeogromnej za to szczęście moje jedynel...

A nie wolno mi o niem marzyć nawet, jeżeli nie chcę stać się śmieszną...

I dlaczego? powtarzam!

Więc dlatego, że ślepy przypadek stworzył mnie ohydnie brzydką, że dał mi szeroki, zadarty nos, rybie wypięzłe oczy, czerwoną, piegowaną cerę i czarne, zepsute zęby — dlatego muszę się wyrzec praw do miłości, do szczęścia?

O męko! męko!

6. lipca, niedziela.

Piękny był dzisiaj dzień, bardzo piękny. Pani Rażycka zaprosiła mnie na obiad i cały dzień aż do późnego wieczora spędziłam w towarzystwie Ludwika i jego rodziny.

Tak było swobodnie, dobrze, tak jakoś swojsko — zapominałam o tem, że właściwie jestem tam intruzem, który się weisnął nieproszony, niewolany...

Coś mi się zaczynało marzyć... Zdawało mi się nawet, że on jakoś inaczej niż zwykle na mnie spogląda. Naturalnie, zdawało mi się to tylko, bo skądżeby...

Po przyjeździe do mego samotnego pokoju, rozplotłam włosy... Wiem, że włosy mam piękne — to jedyna moja ozdoba, ten złocisty, królewski płaszcz Loreley z bajki... Nie obciąłabym też tych włosów za nic...

Kiedy byłam małą dziewczyną, chowałam się nieraz w jakimś kątku i rozplatałam włosy... Marzyłam wówczas, że jestem tak ładną, jak moja najstarsza siostra Marylka, albo kuzynka Muszka Żuczkowska, marzyłam, że mnie wszyscy podziwiają, chwala, całują, że jestem bardzo szczęśliwa... Nazywałam to bawić się w królową...

I dzisiaj mam chwilę taką, że chciałabym zabić się „w królową“ i śnić i marzyć, że jego drogie ręce bawią się moimi włosami, że na ustach czuję jego usta... Ludwiku! Ludwiku!...

10. lipca.

Ni stąd ni zowąd zaczął mnie pytać o Helę Liżińską. Dlaczego? Nie znają się przecież wcale i zdaje się nie spotykają nigdzie. Wiem, jak Hela unika znajomości.

Co to za potęga: Uroda! Widział ją na ulicy i pamięta! A mnie zna lat tyle, a gdybym mu się nie przypominała ustawicznie, zapomniałby, że wogóle istnieje na świecie.

Witowtówna, ubrana w jakiś domowy pstry, kretonowy kaftanik, który wcale nie dodawał jej wdzięku — siedziała pochylona nad książką.

Na stole syczał „primus“, a obok leżał bocheneczek chleba i kawałek sera.

Woda gotowała się, kipiała, podrzucała przykrywkę. Wrzątek wylewał się, ale zaczytana dziewczyna nie zwracała na to żadnej uwagi.

Dawniej nie lubiła poezji, nazywała ją bujaniem w obłokach i przechwalała się tem, że ma umysł ścisły, praktyczny, ale od pewnego czasu zaczęła z upodobaniem czytać wiersze, szukając takich, któreby były przepełnione miłosną tęsknotą za niespełnionym szczęściem.

I teraz czytała, a zdawało się jej, że to wypowiada jej własne zbolełe serce.

„Dlaczegoż teraz nie mogę gdzieś z tobą
W zaciszu siedząc wieść cichej rozmowy,
Czemuż nie mogę ująć twoich dłoni,
Na mem ramieniu uczuć twojej głowy?
Czemuż nie mogę podzielić się z tobą
Każdym oddechem, każdym kęsem chleba.
Każdą radością i każdą boleścią
I tylko wiecznie tak tęsknić potrzeba?“

Blade, niekształtne usta dziewczyny zadrżały i cichutko powtórzyła pytanie: dlaczego?...

Przysunęła znowu książkę i czytała dalej:

„Serce me smutku owiane żalobą,
Słuchasz w noc cichą, czy kędy nie bije.
We śnie o tobie marząc, serce czyje,
Czy cię nie woła, nie tęskni za tobą...
Nie — nic nie słychać... Tylko smreki szumne
Szumią, za wichrem pochylając czoła.
Próżno wytegasz słuch — nikt cię nie woła
O serce, bądźże ty na skargę za dumne“.

Kornelia podniosła głowę — z brzydkich, rybich jej oczu płynęły łzy wielkie, gorące łzy i spadały na białe karty książki.

Ktoś lekko zapukał do drzwi.

Witowtówna opanowała się w jednej chwili, otarła szybko łzy, a twarz jej momentalnie, jakby u wprawnej aktorki, ułożyła się w fałdy wiecznego wesołego śmiechu.

Zgasila maszynkę, zamknęła książkę i pobiegła otworzyć drzwi.

— Hela! Ty?! O tej porze? — zawołała zdziwiona.

— Cóż w tem dziwnego? — odparła Hela Liżińska, wchodząc — Wiesz, że lubię wieczorne przechadzki, a „przyzwoitek“ nie zwykłam prowadzić ze sobą. Ale może przeszkodziłam ci?

— Bynajmniej, zabierałam się właśnie do jedzenia. Proszę cię, siadaj — może wypijesz szklankę herbaty ze mną? Do jedzenia nie zapraszam, bo odgaduję, że jadłaś już kolację i to nieco wystawniejszą niż moja.

— Istotnie, jadłam już, ale herbaty napiję się chętnie i sądzę, że mi lepiej smakować będzie, aniżeli ta „wystawna“, jak ją nazywasz, kolacya, przy której nieraz zdawało mi się, że się udławie jakim kęsem... Brrr! — otrząsnęła się.

Hela zdjęła kapelusz, położyła go na stojącej pod ścianą komódce i usiadła na krześle, odchylając zwyczajem swoim głowę nieco w tył i chwilę trwała tak bez ruchu.

Kornelia mimowolnie zapatrzyła się w nią z podziwem, tak się jej ta Hela wydawała piękna.

W świetle lampy, ciemnobrązowe włosy dziewczyny mieniły się gorącymi połyskami. Ponad nizkiem, o regularnych liniach czołem, przeciętem cieniutką zmarszczką, pomiędzy czarnymi brwiami, ciemne oczy gorzały z pod długich czarnych, jedwabistych rzęs, rzucających cień na policzki białe, matowe — bez rumieńca. W białej twarzy tylko drobne usta płonęły świeżością szkarłatnego kwiatu.

Biała cienka batystowa bluzka falowała lekko na szczupłym dziewczęcym, ale okragło zarysowanym biuście, nozdrza krótkiego, kształtnego nosa drgały chwilami nerwowo, nadając twarzy wyraz trochę przekorny.

— Jakaś ty piękna, Helu!

Hela roześmiała się.

— Co to, komplementy mi mówisz, Kornelko!? Nie po to do ciebie przyszłam. Wiesz moja dzisiejsza wizyta, to pewnie ostatnia pożegnana przed wyjazdem. Nie czekając końca wakacji, jadę do wsi,